

Teologia  
Polityczna

andrzej horubała  
ptasia i zakonnica

ANDRZEJ HORUBAŁA

PTASIA  
I ZAKONNICA

Teologia Polityczna  
Warszawa 2024

Gdyby wystawiano to w teatrze... Ale czemu miano by to pokazywać na scenie?! No ale gdyby, to technicy zamontowaliby na sztankietach przemysłne urządzenie, które zakonnicę w powiewnym czarnym habicie uniosłoby wysoko nad scenę. Upozowana niczym w filmie kung fu – z jedną nogą podkuloną a drugą wyprostowaną – poszybowałaby nad zadartymi głowami publiczności, zmierzając ku tobie. Niech się przemieszcza wolno wolniutko. Niech płynie w powietrzu niczym mnich-wojownik z klasztoru Szaolin, a jej habit i welon niech falują od strumienia powietrza z umieszczonej wysoko nawiewnicy. Może nawet siostrzyczka zastygnąć na chwilę i lekko obrócić się wokół osi. Napięte, wytrenowane ciało. To ma być popkulturowy pastisz. A potem lądowanie i nagle przyspieszenie, świetnie zamarkowane uderzenie stopą w splot słoneczny, walisz się na deski, linka wypina się z upręży, uwalnia aktorkę i wśród braw zachwyconej widowni (zakonnicze zawsze powodują w teatrze wybuch radochy, wiadomo) zaczynamy przedstawienie. Leżysz i zwijasz się z bólu, siostra krzyżuje i energicznie prostuje ręce wykonując puentujący gest karateki.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Ale i tak, bez tej teatralnej przesady ten epizod musiał wyglądać niezwykle. Półmrok, lekka mżawka, a może to mgła wisząca w powietrzu, dziedziniec sanktuarium, ty próbujący odłupać kamienną płytę i po zdecydowanym „co pan tu robi?!” siostrzyczki, która podeszła cię bezszelestnie, odwracasz się trochę zbyt gwałtownie, może rzeczywiście wyglądasz dość groźnie ze śrubokrętem w ręku, w każdym razie ona, nie namyślając się, zajmuje pozycję i jej noga wystrzela i wbija ci się właśnie w splot słoneczny. Kulisz się, ale lecisz do tyłu, walisz w ścianę, padasz, śrubokręt toczy się pod murek. Potworny ból, szok, przerażenie, próbujesz złapać oddech, nie możesz, boli, kulisz się na mokrej ziemi, a twoja oprawczyni pochyla się nad tobą w złowrogim czarnym habicie.

4

Albo inaczej: wśród wielu tablic donatorów, składających się na budowę sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, pod oczywiście słynnym Romanem Kluską z rodziną, który zajmuje honorowe miejsce, umieszczony wśród purpuratów, budowniczych, absurdalnego Mostostalu i możliwych tego świata, mamy cegiełki od zwykłych ludzi: małżeństw z dużych i małych miejscowości, kół Radia Maryja, proboszcza skądś. Każdy ma swoją historię, wielu dziękuje za cud, ktoś podjął mocne postanowienia, ktoś wyrwał się ze szponów nałogu, inny tęsknił za ojczyzną. Różnie reagują te płyty na zmienną pogodę, niektóre stają się mętne, litery na nich blakną, inne matowieją lub pstrzą zielonkawymi krostami. Siostrzyczki pielęgnujące ową ścianę wdzięczności czyszczą te tablice, przycinają pnącza i wyrrywają chwasty, by nie przesłaniały tych dwudziestu paru przeseł muru. Ludzie, którzy ofiarowywali czasem wdowi grosz (grosz jak grosz, obowiązywały ściśle określone minima), ludzie zasługują na upamiętnienie. Więc choć modlitewna hala wzniesiona z ofiar wiernych nie grzeszy urodą (powiedzmy sobie

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

szczerze: jest okropna jak jakaś gigantyczna dworcowa poczekalnia i raczej nie skłania od intymnej modlitwy), to trzeba trzymać klasę i honorować darczyńców.

Jedna z kamiennych płyt może wzbudzić zainteresowanie pielgrzyma. Lakoniczny napis na niej głosi: „Ufamy”. Tylko tyle. Żadnej miejscowości, żadnego symbolu.

Historię tej tablicy wotywniej chcemy wam opowiedzieć. Ku przestrodze? Ku nauce? Największy problem w tym, że nie za bardzo wiadomo, co z tej historii wynika i co się z niej wykluje.

Wchodzimy w XXI wiek, po Polsce toczy się rozklekotany walec transformacji, pobrząkując dzwoneczkami, kasa płynie z rąk do rąk, foliowe torby, klikanie zamków od neserów wypełnionych banknotami, dziwne przelewy, hojni sponsorzy, uśmiechy i jakoś to idzie. W kinach królują polskie komedie o mafii, w których duży bije małego i częstuje nas zabawnymi grepsami.

Tak, to twoja tablica, świeżutka. Twoje wotum. Ale ostatnia rozmowa sprawiła, że zoczyłeś z drogi i zajechałeś swym audi do Łagiewnik. By unieważnić umowę i odczepić tę nieszczęsną tablicę. Tylko skąd miałeś wiedzieć, że jest ona tak mocno przytwierdzona i zwykły śrubokręt nie wystarczy. Na zdjęciach nie wyglądało to tak solidnie.

No i dałeś się zaskoczyć niepozornej siostrze, która oczywiście jak większość mniszek miała swą historię sprzed ślubów zakonnych: jedna tu była wirtuozem gitary, inna pięknie malowała, a ta akurat trenowała dość zawzięcie karate, nim przerzuciła się na ostrą dyscyplinę postów i modlitw.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

\*\*\*

Oj, Andrzejku Andrzejku.

Trzy miesiące temu?

Byłeś w niebie. Tak.

Stoisz u boku Szyny wspierając dłonie o chłodną metalową barierkę i patrzysz na tańczący na dole tłum rozświetlany dyskotekowymi światłami. Sprowadzone z Anglii robią wrażenie. Rzutniki, wizualizacje. Najnowocześniejszy sprzęt w Polsce. Czujesz, jak przenika cię szczęście. Napełniasz się spokojem i pewnością.

Psyk psyk sykają automaty wypuszczające dym, by lepiej kreślić smugi paskami skanerów. Półprzezroczysta szachownica na podłodze pulsuje w rytm.

Wolny od pożądań, spełniony. Czujesz spojrzenia tych wszystkich lasek i wiesz, że nic nie musisz. Jesteś panem. Niektóre wiedzą kim jesteś, inne mają rozkoszne znaki zapytania w oczach, ale skoro Szyna... skoro stoisz tam z Szyną, to musisz być kimś! Widzisz: bujna blondyna wskazuje na ciebie wzrokiem i przekrzykując męża, mówi coś do koleżanki. Szacun.

Skład na parkiecie mieszany. Mieszany jak ta inwestycja. Miesza się miasto z warszawką. Półświatek z nową elitą, dawne podziemie gospodarcze z dawnym podziemiem solidarnościowym. Młode wilki z partyjną młodzieżówką. Wszyscy wychodzimy na powierzchnię, by rządzić. Na bramce ludzie związani z komendą stołeczną. Na parkiecie najlepsze dziwki z miasta – Szyna wzięła swoje najelegantsze laski, wyselekcjonowaną ofertę, to przecież ich święto, a i damy z salonu, wszystkie gibią się w pulsujący rytm zapuszczanej muzy. Jedne są za pieniądze, inne za odurzający aromat władzy.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Czujesz się tu na podeście niczym na kapitańskim mostku. Zazdrosne spojrzenia planktonu męskiego i ty. We włoskim garniaku, w sztywnej wyprasowanej śnieżnobiałej koszuli, lśniącej fantastycznie w tym ultrafioletowym świetle, lekko tylko pocąc się.

Zerkasz na dłonie swoje i Szyny wsparte o barierkę.

Gruby ciężki sikor na przegubie Szyny, odbijający błyski dyskotekowej kuli, ale jednak rolex, nie jakiś badziew, i twój delikatny, czasem tylko wyłaniający się spod mankietu, subtelnie płaski patek philippe z paskiem z delikatnej skórki. Jaki symboliczny banał.

Otwarcie najnowocześniejszego klubu w stolicy. Pełna elegancja. To będzie instytucja prawdziwej kultury. Myślisz: dzieło moje, bo ja tu, z demokratycznego solidarnościowego wyboru, sprawuję władzę, no i Szyny i jego chłopaków, bo to w końcu ich jest miasto i ich kasa. Nie pierwsza to wspólna inwestycja, ale ta bardzo spektakularna.

Szyna cywilizuje się. To już nie tancbuda i cyrkowy namiot zwijany i rozwijany, stojący bez pozwoleń, to już nie jakaś mordownia pozbawiona klimatyzacji w pofabrycznej ruderze, gdzie szalały jakieś karki, a wszystkie dziewczyny kelnerki niekelnerki dymane były jak popadło, o nie, tu ma być pełna kultura i wyrafinowanie. Załatwiłeś mu to, przepchnąłeś zgody przez tych wszystkich urzędników miejskich, niezdarnie noszących za duże marynarki, niekiedy nawet z nieodciętymi metkami na rękawach, sądzących, że tak trzeba. Przybili swoje pieczętki ci plebeje wyniesieni nagle do władzy, w przykurzonych butach z topornymi podeszwami i za szerokimi noskami, z fryzurami po raz pierwszy profesjonalnie modelowanymi przez fryzjerki. Ale i oni się wyrobią.

Oto ty – rozgrywający sprawy i doprowadzający je do końca. Modernizujący i swoich ludzi, i tych brutalnych chłopaków w podrasowanych beemkach i tuningowanych golfach z zaszpachlowanymi pordzewiałymi

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

progami, to ty, wprowadzający ich nie zawsze czyste pieniądze w oficjalny obieg, w normalną gospodarkę rynkową. Będzie dobrze. Jak ktoś się z tobą umówił na coś, to miał to załatwione jak w banku. Można na tobie polegać.

To był ten dzień. Ten wieczór. Ty – wolny od namiętności, od tej codziennej szarpaniny, pełen dumy ze wspólnego dzieła. Wiarygodne partnerstwo.

Umęczyły cię te ostatnie tygodnie strasznie. Dopięcie takiego projektu, załatwienie wszystkich zgód, przekonywanie jednych, pacyfikowanie drugich, rozmowy przez tę przegrzewającą się komórkę, kwadratowe gadki, na koniec kryzys z cebeesiem, który przeświecił udziałowców i zaczął mnożyć wątpliwości. Koszmar. Czasami z lękiem myślałeś, że się nie uda. Że biurokracja, strach przed wizjonerskimi wyzwaniem pokrzyżuje wam projekt. Bo oczywiście lepiej nic nie robić, dmuchać na zimne i powodować, by pieniądź nie pracował, by miasto się nie rozwijało. Że niby mafia wchodzi do centrum, że niby przestępców wpuszczam do stolicy? Ale ale, albo umawiamy się, że są mechanizmy wolnorynkowe, albo tkwimy w stuporze i bezwoli.

Błyszczące światła klubu odpowiadały na wszystkie wątpliwości.

Czujesz, jak schodzi z ciebie wielotygodniowy stres, w końcu partner nie był łatwy, a praca bardzo ciężka. Płacił dobrze, miałeś więc fundusz operacyjny, ale czasami szło jak po grudzie, bo spięcie wszystkiego było bardzo karkołomne. Niektórzy brali do ręki, niektórzy na jakieś swoje fundacje, ktoś tam chciał motocykl...

Wychodzisz z klubu, mnóstwo roześmianych spoconych ludzi, parujących ciał, jednak na końcu klima coś szwankowała, czujesz na twarzy zmęczenie



## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

od tych ciągłych uśmiechów, lekko tylko – oszczędzałeś się – podlany alkoholem. Przychodzi fala zmęczenia. Ale takiego euforycznego. Zmęczenia szczęściem. Zaraz podjedzie po ciebie samochodem pan Miecio. Do domu, do pustego sterylnego domu, prysznic, drink.

I nagle patrzysz: Ptaszyna. Tak, to ona.

Skąd się w ogóle wzięła tutaj?! Czujesz złość, twarz znaczy ci lekki grymas niechęci: jak to możliwe, że się tu przedarła, bramka miała być szczelna, może skombinowała sobie na lewo zaproszenie. Przyszła chyba na koniec, bo jakoś jej nie widziałeś wcześniej, ale ona już przeciska się do ciebie i: o, Andrzej, gratuluję, świetnie że się udało – mówi i zręcznym gestem ujmuje cię pod ramię i myk-myk, przywiera do pleców, spryculka. Patrzysz: gruby makijaż, tapeta maskująca nie najzdrowszą buźkę, ale z tymi pionowymi smugami bronzera na policzkach wygląda całkiem nieźle i twarz, okrągła jak piłka, trochę zabawna, staje się pociągła i pociągająca. Włos zaczesany do tyłu i wzięty na mocny lakier powoduje, że w ogóle wygląda nieźle. Już nie niesforne blond loczki, tylko coś wyzywającego, technicznie brutalnego.

Ale przecież boisz się. Taka narkomanka może nieźle namieszać.

To już nie świeża Ptaszyna, Ptaszka, Ptasia.

I łąduje się do samochodu obok ciebie na tylne siedzenie, jak gdyby nigdy nic, pan Mieczysław – widzisz jego oczy w lusterku – zdziwiony ale i rozradowany: o, dobry wieczór, no tak, personel pomocniczy zawsze trzymał sztamę... Może już zresztą czysta, może sobie strzeliła detoks, cholera wie, chociaż wydawało ci się, że sprawy zaszły już zbyt daleko i że stamtąd już się ot tak nie powraca. Nie masz siły protestować, myślisz, okay, jeden dobry uczynek na konto dzisiejszego sukcesu można zrobić, bądź miły, bądź przynajmniej miły.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Jedziecie przez miasto, wśród wielkich dźwigów i płotów ogradzających budowy, rozwija się stolica, rośnie w górę. Sporo twoich rzeczy. Asfalt pobłocony ciężarówkami. Dzieje się.

Kogo za kilka lat będzie obchodzić, jak krążyły pieniądze. Kto będzie dochodził, które były brudne, a które nie. Kto się zastanawiał, kto, ile i komu posmarował. Niedługo nie trzeba będzie wyburzać Pałacu, bo zasłonią go biurowce, hotele i apartamentowce. Mijacie świetne Atrium, gdzie w kuchni nad otwartym płomieniem dochodzą befsztyki posypywane himalajską solą, a tu wietnamska knajpa, też nieźle, tylko ubranie potem trzeba wietrzyć.

Budzisz się rano. Otwierasz oczy. Łeb pęka. Zapiłeś. Wolno dociera do ciebie. Ale skokowo. Coś dziwnego to było. Pomieszanie wszystkich uczuć. Obrzydzenia, dominacji, czułości, rozkoszy. Jej skóra przy przegubach dłoni jakby podeszła wodą, Ptasia w ogóle była opuchnięta, więc ty z jakimś zapamiętaniem lirycznym, jakbyś chciał ją w ten sposób pożegnać, dymałeś ją, a i ona oddawała tobie miłość.

W łazience capi straszliwie: jakimś pawiem, ale i czymś chemicznym, jakiś dym, cholera wie. Czyżby tutaj zagrzała? Kurde, całkiem możliwe, bo przecież jej ciało całe w sińcach i dziwnych śladach jak po wkłuciach. I jej zachowanie: wcale nie wyglądało, żeby była na detoksie. Jakieś chichoty i nagle łyzy. A potem ostre dymancko bez piesszczot, zapamiętałe, mocne. Co to było? Przestrach przebija się przez obrzydzenie. Prezerwatywa chroni? Miejmy nadzieję. Żebyś czegoś nie załapał. Patrzysz na siebie w lustrze, subtelny blondynku, gębusia mocno zmęczona, jakaś puciata ci się robi, mówisz, po ci to było, no nic, trzeba pod prysznic i spłukać to wszystko.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Czy już sobie poszła? Nasłuchujesz, ale jakaś krzątająca na dole. Poprawiasz pasek w granatowym mięciutkim szlafroku. I nagle z salonu kliknięcie! Kurwa! Majstruje przy twoim stereo! Basowe beknięcia włączanych kolumn. O nie! Zdewastuje ci narkomanka sprzęt! Twój wyselekcjonowany lampowy profesjonalny audiofilski zestaw! Zbiegasz po schodach, widzisz, jak chwiejąc się na nogach, rozmemłana, włosy już pokręcone, tłuste, makijaż tragicznie rozmazany, nakłada na gramofon płytę z Mateuszową Pasją. Dostrzega cię i obdarza uśmiechem. Infantyizm, zepsucie, błaganie o litość, jakiś porozumiewawczy błysk. Drżąca dłoń z za krótkimi palcami, trzyma ramię adapteru. Porysuje ci płytę przybłąda! Uszy aż kulą ci się z przerażenia, zaraz usłyszysz chrzęst igły orzającej winyl. Ale nie, trafia bezbłędnie. Masz twoje „Erbarme Dich” – lament pokutny świętego Piotra. Cienki kobiecy głos udający złamanego młodzieńca, co to zaparł się swego Mistrza.

Sobie wychowałeś, kurwa, Ptaszătko. Uczyłeś jej słuchania muzyki, wprowadzałeś w twój świat, to teraz wyskakuje z takim kawałkiem. Co za kicz. Niby przeprosiny. Wysokoartystyczne przeprosiny. Pojednanie. Śmierzące pawiem czupiradło będzie ci serwować koncert życzeń, przeboje muzyki poważnej. Jakie to żałosne. Kompletny bezsens. Po co ją brałeś na noc, to od początku nie miało sensu.

Już smyczki grają ten trochę frywolny wstęp, ona triumfalnie niczym pijak, któremu udało się przejść po wąskiej kładce, patrzy na ciebie mętными błękitnymi oczyma, w których po chwili pojawia się błagalne pytanie: czy dobrze, czy będzie już dobrze? Tak tak, łka serce, łyż się leją, będziemy się jednać. Erbarme Dich. Czujesz, jak ogarnia cię wściekłość. – Nie, Ptaszyna, wypierdalaj już – słyszysz swój spokojny głos. – Idź. No i poszła. Udało się. Zebrała się szybko i poszła. Zalekniona, pokorna, pełna poczucia winy. Wie, że nie ma powrotu, że to już koniec.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Z Ptaszyną, myślisz, to w ogóle było dziwnie. Najpierw przekonałeś się, jak głupia jest ona, a dopiero potem poczułeś do niej pożądanie. Zazwyczaj z kobietami masz jednak na odwrót. Najpierw ujmuje cię ich uroda, tajemnica, niedosiężność, a ich banalność wyłania się dopiero potem, przez pierwsze dni maskowana wdziękiem, a i tymi salonowymi dziewczynskimi grepsami grepsikami, które przesłaniają pustkę. A Ptaszyna: najpierw był dla ciebie głąbalkiem, asystentką przysłaną z kadr z ptasim mózdzkiem, potem słodkim głąbalkiem, następnie rżniętym głąbalkiem, by wreszcie stać się głąbalkiem odstawionym na boczny tor. Ale prawie rok byliście razem. Razem jak razem. Obok siebie. Ona jako asystentka i od czasu do czasu nałożnica. Nałożnica na wpół tylko sekretna, bo i tak wszyscy się domyślali, a i pan Miecio mógł wiele powiedzieć.

12 Była w stylu przedwojennych rewiowych gwiazd: nie za wysoka, trochę tłuścawa, z pełnymi udami, ale gibka, ruchliwa, z główką okrągłą okoloną radosnymi blond lokami, błękitnymi oczyma, z dołeczkami na policzkach gdy się uśmiechała, słodką bródką... I w końcu cię wzięło. Jakoś tak. Może trochę przez upodobania twojej byłej i piosenek, którymi cię męczyła. Coś ci świta, jakieś Lody Halamy, Zuzy Pogorzelskie, Ordonki... „Trudno serce okłamywać, bo mądrzejsze jest niż Ty, trudno sercu się sprzeciwić, gdy wyrywa się i drży”. Serce jak serce, chodziło raczej o ciało.

Stylizowała się na retro. Te sweterki, muślinowe narzutki, spódniczki, ten obcas niewysoki, zwarty, jakby przedwojenny, bucik wymodelowany niegdysiejszo...

A jej ciało – ponętne, oryginalne, w starym stylu, z krągłościami i tłuszczkiem, przecież wcale nie wylaszczone. Błade, naturalne, bezpośred-

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

nie, nie tak jak Klaudii – strzaskanej na solarce żyłety. Lubieś właśnie jej cielesność, cielaczkowatość.

Lubieś tłuściości Ptasi, lubieś jej żabie uda, po prostu grube, nabite. Lubieś przerzucać jej gołe ciało z brzucha na plecy i falowanie jej tłuszczu. Bawiliście się świetnie. Baraszkowaliście, ciesząc się swoją nagością. Tarzaliście się po pościeli, tłukliście poduchami. To było przekroczenie granicy, nie w perwersji, tylko w bliskości, trochę jak rodzeństwo, trochę jak stare małżeństwo, które po prostu się lubi.

Jako asystentka? Owszem, dbała, żeby w gabinecie zawsze były świeże kwiaty, a na porcelanowej wzorzystej misie – owoce, serwowała wyśmienitą kawę, i – choć specyficzna – wyglądała naprawdę niezłe: fajnie było patrzeć, jak się ślinili na jej widok.

A jednocześnie bardzo infantylna. Pomysły na te integracyjne biurowe imprezy, te wspólne działania, te jej plakaciki z okazji pór roku czy miejskich świąt... Albo celebrowanie twoich urodzin, laurki wypisane flamastrami z brokatem, kwiaty, tort, zganianie całego zespołu do śpiewów i życzeń. Trochę to było krępujące. I jeszcze imieniny: andrzejki, lanie wosku i hołdy dla ciebie.

Nie do końca rozumiała, co to jest być asystentką, starała się, owszem, ale czasem spoufała za bardzo, myślała, że jak raz po raz się bzykamy, to i w pracy jesteśmy kumplami. I miewała wysoki beznadziejny. Gdy raz na spotkaniu biznesowym, poprosiłem ją, by notowała i podsunąłem jej blok z żółtymi kartkami, to ta do mnie: „no co ty?!” i śmiech. Innym razem zaczęła tak przymilnie poprawiać mi kołnierzyk i krawat, że aż musiałem strącić jej dłoń, bo to już zakrawało na demonstrację. Wkurzała cię, aż czasami Piter mówił, byś wyluzował. Gdy spytała, czemu dali kubełek z lodem tylko do białego wina, a co z czerwonym,

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

i już chciała besztać kelnera. Albo jak w „Lautrecu” dostała na deser crème brûlée i z entuzjazmem do ciebie: Andrzej, spróbuj, to łagodniejsze od budyniu! Straszne. Popatrzyłeś na nią z taką pogardą, że aż Pieter się zlitował i wrzucił wspomnienie budyniów z barów mlecznych podlanych sokiem malinowym i potem, popijając café au lait, ciągnął dowcip i rzucił, że to łagodniejsze od zbożowej Inki. Wyluzuj, bucu. A ty rzeczywiście potrafiłeś być niemiły...

Wstydzisz się jej? To nie było tak. Po prostu była podwładną i godziła się na ten układ też w życiu prywatnym. Tak od czasu do czasu. Niby asystentka, niby partnerka, niby kochanka. Ale to raczej takie kumpelskie przysługi. Ona tobie, ty jej. Taka gra. Dobrze jej w tym było. Nie domagała się wspólnych wyjść, nie żądała, byś przedstawiał ją znajomym, brała na oficjalne imprezy. Owszem, spotykaliście się tam, a czasem jeździliście razem, ale tam zachowywała pozory i nie pchała z łapami. Po prostu – asystentka jakich wiele...

Myślisz: bo to nie tak, to nie tak. Oboje traktowaliśmy się użytkowo i świadczyliśmy sobie usługi erotyczne. Co w tym złego? Nikt nikogo nie oszukiwał, ani nie wykorzystywał. To znaczy wykorzystywaliśmy siebie wzajemnie. I to jest dobre. Tak, to był dobry związek. Relacja dwojga samotnych ludzi.

Te gesty czułości, to wzajemne wzlatywanie ku innej rzeczywistości, gdzie nie istnieją wasze ograniczenia, gdzie wznosicie się ku ekstazie, jesteście boscy.

I tylko rano jest fatalnie.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Nie chciałeś, by budziła się przy tobie, by była towarzyszką twego świ-  
tu i poranka. Miałeś swoje sanktuarium, wypieszczone mieszkanie ze  
starannie dobranymi sprzętami i wpuszczałeś ją do siebie tylko na noc.

Musiałeś ją w końcu zwolnić. Nie wytrzymała tempa, dała się wciągnąć  
światu.

Każdy musi grać w tę grę sam, określać sobie granice, narzucać dyscy-  
plinę, nie iść na łatwiznę. To oczywiście zawsze jest jazda po bandzie,  
ale ona zaczęła przychodzić do biura nieświeża, po całonocnym picu  
gdzieś na mieście, przysypiała, stawała się apatyczna, czasem opryskli-  
wa. Sweterek poplamiony, rajstopy z dziurą, obciach. A potem jeszcze  
jakieś ćpanie się wdało, no to bez przesady.

Próbowałeś ją jakoś dyscyplinować, ale ten jej ciąg okazał się silniejszy.  
Przestraszyłeś się.

Dałeś więc jej wysoką odprawę, na koniec jakąś nagrodę, napisałeś  
referencje, a na jej żałosne „co z nami będzie”, odpowiedziałeś: „nic, to  
jest koniec”. I wydawało się, że sprawa jest zamknięta.

Przyznaj, i ty chłaleś. Chłaleś mocno, trochę się speedowałeś, ale to  
było pod kontrolą, potem mnóstwo red bulli, zresztą bez kirania byłoby  
ciężko: wszystko była na takim przyspieszeniu, w niedoczasie, spinałeś  
parę inwestycji, wszystko w pędzie, na wczoraj. Żeby drinkować, zre-  
zygnowałeś ze swojego samochodu i przemieszczałeś się tylko służbo-  
wym. Fajny pan Miecio, kierowca. Patrzył na ciebie z lekką przyganą  
pomieszaną z podziwem, kręcił głową, trochę rozbawiony, nie miał  
z tobą źle, dzieliłeś się z nim żaretkiem, coś tam kupowałeś, prezenciki  
mu kopsałeś albo jakieś gratisy. Raz, zabawnie: miałeś jechać na jakąś  
naradę do Agencji Rozwoju, więc rzucasz mu, szybko szybko do agencji,

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

jestem już spóźniony... Pakujesz się z teczką z papierzyskami, jakiś rulon upychasz na siedzeniu, albumy na prezenty, przeglądasz dokumenty, zatapiasz się w raportach, tabelkach, a ten zawozi cię do agencji, ale towarzyskiej! Do twojej agencji, do Klaudii. Tam, gdzie często kończyłeś dzień. Do rozwoju – mówisz ze śmiechem – do Agencji Rozwoju.

No, dymałeś panienki, miałeś tę Klaudię, miałeś inne, często zresztą dawałeś się im obsługiwać – już nie taki kozak, tylko zmęczony wojownik – by zeszło z ciebie napięcie, by ich czułość cię jakoś odstresowała. Jak u lekarza. Nie wstydziłeś się swojej słabości. W szafeczce czekał twój koniak, już nie oferowano ci tych przesłodzonych drinków, było prawie po domowemu. Trochę więc pryskał taki kręcący czar, ale nie poprzestawałeś na jednym adresie, więc była zmiana. Zresztą do agencji chodziło się też razem z chłopakami dla obgadania interesów.

— 16

A Klaudia z Bemowa? Po prostu – fachowa, profesjonalnie troskliwa. Trochę to było tandetne – te fioletowe tapety, boazeria w korytarzu, peerelowskie kinkiety, taki luksus z Kuluszek. Porzuciła na szczęście gadki, jakimi cię próbowała karmić na pierwszych spotkaniach o tym, na co tam zbiera pieniądze, jakie ma marzenia, dokąd by chciała pojechać, darowała sobie te kiepskie nawijki i stała się tym, kogo chciałeś mieć – sprawną technicznie luksusową dziwką, kimś w rodzaju dyskretnej milczącej masażystki nie ingerującej w twoje myśli, nie każącej ci obcować z nią duchowo. Kurwa: od ducha to są inne miejsca niż towarzyska agencja, tu ma być jak w saunie, na siłowni, w jacuzzi, tu chodzi o ciało i odprężenie.

I co sobie myślałeś? Że to jest poziom pana tego świata. Oddawanie swego ciała troskliwym rękom masażystek, manicurzystek, trenerek,



## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

wyselekcjonowanych prostytutek. Jesteś w tych górnych paru procentach ludzkości. Jak rzymski patrycjusz, jak egipski książę. To jest ten pułap, to jest ten status. Jakaś myśl o tacie przebiega, że popatrz, papo, co osiągnąłem, tobie się nigdy nawet nie śnił taki luksus, taki stan.

Nocne rajdy z ludźmi z miasta? Parę razy spróbowałeś i wystarczy. To chamy straszne, tępe osiłki. Uchlewają się, walą koks i potem szaleją, by pokazać kto tu rządzi. Poniżanie kelnerek i dziwerek, władanie lokalami, to jakieś kompletne dno, zupełnie nie twój styl. Musiałeś się w ogóle ewakuować, bo i total rozróby się zdarzały. I potem wymawiałeś się od zaproszeń. Wolałeś już popijanie we dwóch, z Szyną i słuchanie jego monologów: śmieszne, starał się pięknie wystawiać i chociaż wyłaziła cała jego ignorancja, to jednak intrygowało cię jego mocowanie się ze światem i władczość, tak – władczość i spokój. Szyna też niby jeździł z chłopakami na nocne rozrywki, ale zawsze traktował rzecz z dystansem, przyglądał się i sycił.

I nagle, po kilku dobrych tygodniach od otwarcia klubu, który szedł rewelacyjnie – sensacja. Sensacja, sensacja! Niby nigdzie oficjalnie tego nie podano, ale wiedzą, wszyscy już wiedzą. W urzędzie ruch, panika, niektórzy uśmiechają się, myślą, że przejdzie obok, że się wywiną, ale przecież może uderzyć w was wszystkich! Mętne uśmieszki, szept. Wąsaty Krzysztof od oświaty nie potrafi ukryć satysfakcji, ryj mu się śmieje, a nie mówiłem, zaciera tłuste rączki z dziesiątką różańca na paluchu. Kasia z tym zadartym noskiem śmieje się: „nerwioza! nerwioza!” – po-krzykuje, ale tak radośnie, bo z różnych tarapatów już wychodziliście. Gruba Krystyna z księgowości z wyrazem twarzy „co to będzie, co to

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

będzie” obserwuje cię bacznie, ale z taką mamusiną troską, gdy prze-  
mykasz korytarzem. Żeś sobie młody nagrabił i będą kłopoty.

Zaczęła sypać. Kto? Ptasia! Złapali ją zaćpaną z towarem, bez sensu,  
bo chciała mieć trochę działek na zapas, zagrozili sankcją, a ona wy-  
kombinowała, że opowie o działalności urzędu. I nagle jej się chyba  
ta zemsta spodobała. Pomyślała sobie, ale co tam mogła myśleć tym  
zaćpanym łbem, coś jej się uroiło: o, wypierdoliłeś mnie z roboty, to  
teraz poczujesz, jak to jest. I coś tam beżładnie, ale z przekonującymi  
szczegółami zaczęła opowiadać. Zawołali prokuratora od różnych miej-  
skich spraw, a ta popłynęła. Inna sprawa, że w prokuraturze mieliśmy  
trzymanie, a już na pewno mocną ochronę miał Szyna, więc sprawa  
ogólnie była dla wszystkich niewygodna.

Zresztą, i gdy idzie o polityków, jest niepisana zasada – oficerów nie  
biorą i nie szarpią. Służby może i wiedzą swoje, ale wystawiają tylko  
jakieś płotki nieosadzone w układzie, drobnych palantów, którzy działają  
na własną rękę i nie sponsorują góry. A ty przecież smarowałeś.

No ale jacyś dziennikarze miejscy, co to się naoglądali amerykańskich  
filmów, puścili farbę i faktycznie zaczęło się robić mocno niewesoło.  
Na razie żadne konkrety, ale spietrałeś. Niedobrze, niedobrze. Dzwonisz  
do Szyny, mówisz, że mogą być kłopoty, bo Ptaszyna jakieś dyrdymały  
opowiada o Klubie. On przerywa ci gwałtownie, ucina, że nie rozumie  
o co ci chodzi, że to twoja sprawa, nic nie wie, nic mu do tego i przerywa  
połączenie. Gapisz się zdumiony na swoją nokię, ale ma rację, wygłupiłeś  
się, i jeszcze przez telefon?!...

Wracasz wcześniej do domu. Chodzisz po salonie jak po spacerniaku.  
Co też ta zaćpana dziwka może mieć na ciebie, przypominasz sobie  
rozmowy, przy których asystowała. Przecież krzątała się wszędzie.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Kurwa!!! A to kurwa. Niby skoro ćpa, a grzeje ostro, to pewnie będzie można zakwestionować jej wiarygodność, zresztą ten bełkot, którego się ostatnio przestraszyłeś, pokazał, że tam w mózgu ma nieźle narąbane. Żeby ją diabli wzięli!

Spokojnie spokojnie, jeszcze nie wszystko stracone.

Wychodzisz na balkon, pod tobą – Warszawa. Twoja dzielnica. Twoje miasto. Tyle mu dałeś. Całe swoje życie. Czerwone światełka na dźwigach, światła zmieniają się na skrzyżowaniu.

Co ona w ogóle z tego rozumie? Widzi wielkich graczy, serwuje herbatę, kawę, a zupełnie nie wie, jakie są reguły. Pierwsza sprawiedliwa się znalazła!

My jesteśmy te skurwysyny, którym się udało! – wykrzyknąłeś ostatnio przy cygarach. Fakt. Poznaliście, na czym polega świat alfa samców i na czym polega tu dealowanie. Jak skręca się kasę, jakie gadki trzeba zasuwac, by rzeczy szły do przodu. Jest kontrahent, inwestor, jak naiwny, nieobyty, to nawijasz mu, że niestety, niestety, układ tu mamy nieco skorumpowany, mentalna komuna, i trzeba będzie to opłacić, oczywiście wasza inwestycja to interes dla miasta, więc całym sercem popierasz, ale żeby załatwić te pozwolenia, przepchnąć projekt, trzeba posmarować tym na dole. Mrużysz oczka, a masz takie niewinne, rozmarzone, rozmówca uśmiecha się porozumiewawczo, może kpiarsko, wszystko jedno, wierzy czy nie wierzy, jemu akurat to wisi, kto ile konkretnie z tego dealu weźmie, czy jakiś tam urzędnik przystawi stempel za frico a ty skitrasz jego dołę, ważne by sprawy szły do przodu. Ale zazwyczaj przecież zna układ, zachodniacy mają specjalny fundusz na nas, w ich centrali też wiedzą, jak jest, i to sobie wrzucają w koszty, więc w ogóle odbywa się bez tych kwadratowych rozmów.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Pamiętasz, jak na jakieś sentymentalnej imprezie z kumplami z osiedla spotkałeś taką mniejszą wersję siebie: kolesia, który organizował koncerty dla koncernów piwnych. W tureckim swetrze, tandetnych rozciągniętych niemarkowych jeansach, popiwszy whiskacza – krzywił się przy tym strasznie – wiedząc, jak wysoko zaszedłeś zaczął się też przymilnie przechwalać, że know-how w jego branży polega na tym, że trzeba wiedzieć, komu zaproponować wziętkę i tyle. Gość dostaje kasę, te należne dziesięć procent, a ty budżet na imprezę i wszystko się kręci. Mówił i patrzył służalczo, oczekując aprobaty. Tak tak, ten know-how nie jest taki znów trudny, ale trzeba w to zręcznie wejść.

A tu jest całe mnóstwo wolnych pieniędzy. Wielkich pieniędzy! No to pompuje się je w nowe partie, tworzy dziwaczne fundusze, obejmuje akcje, proponuje wspólne interesy. Postkomuchy, nomenklaturowe spółki, szara strefa – wszyscy chcą się opłacić. Szukają dojść do was, żeby razem kręcić interesy albo po prostu łądować kasę, by mieć z wami blat. A nowa klasa polityczna musi przecież mieć jakieś zasilanie, żeby było ją stać na zabawę w politykę, więc to idzie i jest zasadą partyjnego życia. Trzeba brać, by pieniądź obsługiwał politycznych działaczy.

A wcześniej byli jeszcze ci Amerykańcy z brygad Marriott – rosłe napa-kowane chłopaki, agenci udający tu społeczników zatroskanych o rozwój młodej demokracji. Ci też nieźle smarowali: stypendia, fundacje. Aha, i nadciągają Niemcy.

Wszyscy płacą, wszyscy was kupują, a raczej dealują z wami.

Oj, lubiłeś przesuwając opuszkami palców po wypukłym druku banknotów, lubiłeś ten gest układania pieniędzy w stosiki, ich wyrównywania. Niczym przy eleganckiej rozgrywce w karty. Bo to była gra. Jak cię

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

dopuszczono do stolika, trzeba było respektować reguły i grać, nic więcej. Wkładasz spięte gumką recepturką równiutkie stosiki do zip locków, cieszy cię ta układanka.

Pawełek, nasz poeta, może sobie grzmieć na korupcję, może składać swoje pełne troski o Rzeczpospolitą wierszyki, ale przecież jego stypendia fundowane są przez takich samych graczy jak ty. Tylko że oni inaczej fakturują, ot, cała tajemnica cnoty czasów współczesnych!

Aha, dzisiaj jeszcze Maciek. Obiecałeś swojej byłej, że odbierzesz go ze szkoły i weźmiesz na spacer, no ale jak w takiej sytuacji grać dobrego tatę. A może to wyjście? Mieszkanie masz czyste, jakichś rzeczy na działkę nie powinni odnaleźć, trzeba tylko wywieźć kasetkę do kumpla, ale to po drodze możesz podrzucić. Dobra, dasz radę. Odpalasz audi i jedziesz. Ciesz się wolnością, ciesz póki możesz. Czujesz, jak się pocisz, jak robisz się lepki, nie, nie, musisz się wziąć w garść, zebrać się w sobie. Oddychasz głęboko. Jakiś frajer wyjeżdża z podporządkowanej i zajeżdża ci drogę, hamujesz w ostatniej chwili – uderzenie adrenaliny, oddychaj, oddychaj.

Twój Maciek. Wychodzi z szatni i uśmiecha się, czujesz jak topi ci się serce. Fajnie podgolona blond fryzurka, granatowa marynareczka z logo szkoły polsko-brytyjskiej, jasnobezowe chinosa i najki, zuch chłopak. Dla niego robisz to wszystko. Jak już się skończy ten cały burdel z transformacją, wchłonie nas Unia, to przecież musi wykluczyć się spokojny ład, gdzie będzie można bez tej szamotaniny, bez stresu realizować swoje życiowe plany. To dla niego to wszystko.

Czochorasz go, choć wiesz, że tego nie lubi, patrzy na ciebie z wyrzutem, ale uśmiecha się, kochany.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

– To co, kręgle czy pizza?

– Może to i to – odpowiada i uśmiecha się szelmowsko.

– Ale tam w kręgielni taką rozklapcianą z mikrofali dają, podjedziemy potem do mojego Włocha!

W kręgielni ciemnowo. Dywanowe burogranatowe wykładziny na podłodze i ścianach nie są w stanie przykryć tego całego syfu, bo i prześiąka toto smrodem papierosów i piwska, jakie tu leje się nocami, gdy działa disco i jakieś bojki prężą się przed swoimi flamami. Włożyliście te dziwaczne grzybiczne buty i radujecie we fluorescencyjnym świetle. Z sąsiedniego toru – leci na was tytoniowy dym: jakieś młodziaki przyszły się zabawić.

Patrzysz na niego, jak zagryzając usta mocuje się z wielką kulą. Ambitny, nie chciał toru z podniesionymi bandami, chce grać serio. Niezgrabotek jeszcze, choć niektóre ruchy wystudiowane, profesjonalne. Szpanerek. Widać, że się popisują z kolegami. Odgarnia grzywkę, waży kulę w dłoni. Rzuca. Kula toczy się, łomoce, on cały napięty wypatruje wyniku. Kochany chłopak. To o niego toczy się gra. To o Polskę dla jego pokolenia. Żeby wyjść już z tego wiecznego niedostatku, z tej biedy, niedojadania, ciągłego zaciskania pasa, żeby on i jego koledzy pokończyli dobre szkoły, nauczyli się języków, zdobyli kwalifikacje porównywalne z rówieśnikami z Zachodu, żeby tu wreszcie przestało być tak ponuro!

\*\*\*

Co czujesz? Piter gada jeszcze coś, a ty co? Przez warstwę stuporu, przez zawieszinę beznadziei przebijają się bąbelki euforii.

Nie żyje, nie żyje. Przedawkowała.

Biedne Ptasień.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Tak musiało być, myślisz Andrzejk, już ją opłakałeś wcześniej, już ją pożałowałeś, wtedy, gdy widziałeś, jak się stacza. To była droga w jedną stronę. Koniec był nieunikniony – wmawiasz sobie, a może naprawdę tak sądzisz.

Biedna, biedna: co poradzisz, jej okrągłutkie, niczym niewyklute pieczareczki, palce u stóp, gdy je pieściłeś językiem, i jej radosne spojrzenie spod spadających pukli blond włosów.

Pewnie, że ci przykro. Ale chciała cię wykończyć... Chciała byś wylądował w pierdlu!...

I nagle chmury rozwiewają się i staje się jasno. Pomalutku dociera do ciebie. Tak, myślisz, a więc – znów się udało. Wow! Znów umknąłeś!

Jakoś tak boczkciem boczkciem, przemyka ci po głowie myśl: ktoś nad tobą czuwa.

Jej zaćpanie, jakie to szczęście!

Ta śmierć jak kulka w ruletce ostatnim dziwnym ociężałym podskokiem, wbrew prawom fizyki, przetaczająca się przez próg na obstawiony przez ciebie numer, jak ostatnia karta, która podchodzi ci do pokera.

I potem:

– Co to jest? – pytasz. Piter z triumfalnym uśmiechem podaje ci sztywną kartkę w parę razy używanej przezroczywej foliowej koszulce.

– Stykówki. Czarnobiałe. Z „Super Expressu” dostałem. Zdjęcia naszego Ptaszątka – mówi i robi żałobną minę – tylko takie udało się załatwić.

– A skąd oni?

– No, to redakcja, przecież mają swoje dojsścia w policji. Nie pamiętasz fotek „Inki”?

Kładziesz na blacie biurka połączyć papieru fotograficznego i otwierasz ciężką szufladę.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

– Dzięki, leć już, dzięki.

Wyjmujesz podłużne etui z jasnej skórki, odchylasz klapkę zamykaną na magnesik i wypielęgowaną dłonią, co na to poradzisz, lubisz swoje ręce, wyjmujesz z czerwonej pluszowej wyściółki szkło powiększające w srebrnej oprawie. Prezent zdawałoby się bezużyteczny, luksusowy gadżecik, wsunięty obojętnie do biurka, a tu proszę.

Miniatutki. Kilkanaście zdjęć z jej mieszkania, a raczej nory. Policyjne tabliczki z cyferkami. Na ziemi porozrzucane ubrania, butelki. Ona na tapczanie zwinięta w kłębek, naga. Widać jej bladą dupę, plecy z korałem kręgosłupa, zwinięta w kłębek, skulona, jakby chciała spać. Tylko lewa ręka nienaturalnie wygięta do tyłu, jakby chciała coś odepchnąć. Jak skrzydełko. Parę ujęć, pod różnym kątem, widać policyjny fotograf obtańczył ją z aparatem. Jej przetłuszczone blond włosy, skudłane... Drobniutka tłuścioszka.

Wodzisz powiększającym szkłem nad miniaturkami fotografii, dziwisz się swej obojętności. Coś tam przechodzi przez głowę. Niczego tu się nie dowiesz o jej ostatnich godzinach, niczego nie pojmiesz. Pogubiła się zupełnie, zabłąkała. Czy dotarło do niej, że cię krzywdzi? O, plakat Milesa Davisa od ciebie, z portretem z „Tutu”.

W twojej głowie mimo wszystko jakiś tępy ból, oszołomienie. Ulga? Smutek? Ale tak się musiało to skończyć. To był lot na dno, nie było szans.

\*\*\*

Patrzysz: pani Krystyna z księgowości, wślizguje się do gabinetu z dziwnym wyrazem twarzy. Pełna zabobonnej uniżoności wobec szefa, jak z dawnych czasów. Śmiesz, ale i trochę krępuje. Szeroki tyłek we



## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

włóczkowej spódnicy, błękitny sweterek, włosy po niedawnej trwałej, jeszcze tylko złotego zęba jej brakuje. Jakaś pomieszana. Że wymyślili, znaczy ona z panem Krzysztofem, ale i inni, że skoro to wszystko tak się skończyło, to może to trochę niezręczne, podziękować, no i żeby jakoś też Ptasie uczcić, to znaczy, upamiętnić – patrzysz na tę bełkoczącą kobietę, kojarzy ci się z jakąś ciotką, dziwne klimaty rodzinnych spotkań, czujesz jakieś zmęczenie, oj, mogą być kłopoty, o co jej chodzi, trzeba to przecież jak najszybciej przeciąć, zapomnieć. A ta, że może dobrze byłoby jakieś wotum w Łagiewnikach, bo jednak... księgowa jąka się, stęka, faktycznie trochę to się kupy nie trzyma, i że Ptaszyna biednusia i w ogóle, i że nam się udało, jakoś żeby to było... a przecież mogło różnie być, w końcu jakieś dobre zakończenie tego wszystkiego... to jakąś cegiełkę, jak w dawnych czasach, przodkowie, no, fundowali różne kapliczki, składali ofiary, więc tak będzie i nowocześnie, i tradycyjnie – oddycha z ulgą wypowiedziawszy ten przygotowywany pewnie i dyskutowany z koleżankami z pokoju argument. Tak, dobrnęła do mety, więc powtarza: „nowoczesne potraktowanie tradycji”.

Wzdychasz słuchając tego rwanego bulgotliwego monologu, okay, to ile za takie wotum, to proszę niech pani weźmie z kasetki, ja tam jeszcze dołożę, dobra, wykupi się pięć, tylko niech to będzie jakoś dyskretnie. Tak tak odpowiada, ja to wszystko załatwię, tam w Łagiewnikach moja znajoma w kancelarii... więc dobrze.

Odchodzi, ale po pół godzinie znowu wtyka głowę: jaki napis. Co: jaki napis? No, na ścianie wdzięczności: okazuje się mają takie kamienne płyty dla sponsorów i ksiądz naciska. Sam nie wiem, ale miało być anonimowo. Coś można jednak napisać – nalega księgowa – może: „Ufamy”? Co „Ufamy”? – pytasz. Ona, że jak tam jest na obrazie: „Jezu, ufam Tobie”, to takie „Ufamy” będzie pasowało. A my przecież ufamy. Zgoda.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Pani Krystyna kłania się i coś tam jeszcze mówi, że też przy okazji mszę za Ptasie. Dobrze dobrze – mówisz nieco zniecierpliwiony.

Po trzech tygodniach, cała szczęśliwa, pokazuje ci fotografię – właśnie wmurowali tablicę. Faktycznie: jest centralnie umieszczony napis „Ufamy”. W porządku. Ufamy. Rzecz załatwiona.

Ale wcale nie załatwiona, bo niedługo później, ostatniego dnia w Zakopanem – tak, wyrwij się na parę dni w góry, odpoczniesz po tym wszystkim, pojeździsz na nartach – dostajesz telefon i już zasuwasz do „Kasprowego”. Parkujesz na hotelowym parkingu, w lobby hostessy, oj tam, jakie tam hostessy, dziouchy wzięte stąd, córy ziemi podhalańskiej, wysztyftowane, wyflokowane, wypindrzone jak trzeba, ubrane w połyskliwe srebrne kombinezony szykują się do promocji rumu, fajnie to wygląda... Proporce RMF, który tu króluje niepodzielnie, waląc muzą na stokach. Ale tu w restauracji – cisza.

– Andrzejek, Andrzejek – bardaku narobiłeś z tą laską.

Szyna bawi się srebrną zapalniczką, którą przesuwa po śnieżnobiałym obrusie. Czasami zerka na ciebie ni to kpiarsko, ni z przyganą.

– Wiesz, trudno było przewidzieć – mówisz – faktycznie mogło być nieprzyjemnie, ale na szczęście udało się.

– Co się udało, co udało? Andrzejek, co ty gadasz?!

– No... zaćpała się na amen, już nie będzie zeznawać, zresztą ona wszystko pokręciła, więc te jej zeznania łatwo obalić.

– Zaćpała się? Zaćpała?! – wybucha nieprzyjemnym śmiechem słyszalnym w całej knajpie. – Kurwa, człowieku, musieliśmy po tobie posprzątać.

Czujesz jakby stalowy gwóźdź wbijał ci się w czaszkę przeszywając ją aż do szyi.

Jak to?! – pytasz wzrokiem, a on doskonale wyczuwa pytanie.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

– Oj, Andrzejek, Andrzejek, daj spokój: posprzątaaliśmy i tyle. Patrzysz na niego tępyimi oczami, a on wciąż bawi się zapalniczką, przesuwając palcem z sygnetem w lewo i prawo.

Blefuje? Dziewczyna przecież zaćpała się, była na totalnym dnie, pomieszała jej się coś z dawkami, albo wpadła w dół, zrozumiała że zabrnęła bez wyjścia i zasunęła sobie złoty strzał. Zresztą była obdukcja, policja wydała jednoznaczny komunikat: bez udziału osób trzecich.

– Policja – słyszysz swój łamiący się głos, beznadziejny jesteś, oj chyba Szyna słyszy w nim niepewność – wykluczyła udział osób trzecich.

– Trzecich – tak – mówi Szyna – ale nie drugich! – Śmieje się zadowolony, wyjmując paluchami oliwki z kokilki i wkłada do ust.

– Oj, Andriusza, naprawdę nie chcesz znać szczegółów, nie przejmuj się, jakoś się odwdzięczysz, bo jednak chłopaki się trochę narobiły.

Kłamie? Dziewczyna strzeliła samobója, a on tu wymyśla historyjkę, że to jego ludzie ją usunęli. Nieźle to wykombinował.

– Hej – krzyczy do kelnerki – co z tym żurkiem?!

Patrzysz na niego, starasz się utrzymać wzrok, ale nie masz pokerowej twarzy, na pewno widać emocje, które w tobie buzują.

– Mam opowiedzieć ci ze szczegółami jak było? – pyta. – Chcesz, chcesz sobie posłuchać?!

Wyciąga srebrny dyktafonik, z klawiszami zbyt delikatnymi dla jego paluchów, ale jakoś wciska play.

W ciszy hotelowej restauracji słyszysz skamlący niewyraźny głos Ptasi. Nie rozróżniasz słów, ale nagle z bełkotu i szumów wybija się twoje imię. Andrzej!

Czujesz jak drętwiejesz cały. Jakbyś odklejał się od świata, wyosobniony. Szyna klika „stop” i mówi:

– Dajmy spokój. Naprawdę nie chcesz słuchać, jak suczka wyła, żeby zadzwonić do ciebie, że przeprasza, że jeszcze wszystko naprawi.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Była kompletnie pojebana, coś skamlała po niemiecku, jakiś obłąd, daj spokój.

Patrzysz na niego pusto, on chowa dyktafon do kieszeni swojej włoskiej bluzy.

– Spuśćmy na to tak zwaną zasłonę milczenia. Reszta jest milczeniem

– śmieje się Szyna ze swego nagłego przebłysku erudycji.

– Szyna – mówisz – ale ja nie chciałem jej śmierci.

– Andrzejku, ktoś musiał po tobie posprzątać i tyle. A ty zamiast podziękować, zaczynasz mi tu sadzić jakieś farmazony. Wyluzuj. Jakoś się odwdzięczysz.

– Nie chciałem jej śmierci – powtarzasz tępo, a przecież przypominasz sobie ulgę, gdy dowiedziałeś się o jej samobójcu. I nie wyprzesz się: wzdychałeś życząc jej zgonu. Po niemiecku gadała – myślisz – Erbarme...

– Nie chciałem...

Szyna przerywa.

– Oj, Andrzejku, wyluzuj, przecież ta sucz sama jest sobie winna. Popierdoliło jej się we łbie od tych dragów i zawistowała zupełnie bez sensu. Na co ona liczyła? Chciała się mścić na tobie? Porzucona kochanka? Stary, fakt, że słabo to wszystko rozegrałeś, ale ona sama się prosiła o taki koniec. Powtarzam wszystkim moim ludziom: nie sraj tam, gdzie jesz. A ty ją dymałeś i dopuszczałeś do swoich spraw. Bez sensu, Andrzejku. Naprawdę nieźle nabruździła i dobrze że się skończyło, jak skończyło. Można spokojnie podrzeć teraz jej zeznania. I uwierz mi, to już się dzieje. Jak czyścić, to czyścić.

– Ale... – próbujesz coś powiedzieć, ale Szyna ciągnie:

– Dobrze to przemyśl, my panujemy nad wszystkim i w razie czego czyścimy sprawy – dorzuca, a ty odczytujesz w tym oczywistą pogroźkę.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Mają cię w garści.

– Nie no, pewnie – odpowiadasz i czujesz dreszcz przebiegający ci po plecach.

Wychodzisz z hotelu.

Zabili mi Ptasie, zabili! – myślisz, ledwo przytomny, ale przecież czujesz, jaki to fałszywy lament.

Boisz się?

Strasznie się boisz.

Zapinasz granatowy puchowy bezrękawnik.

No tak. Nieźle. Ufamy, tak pani Krysiu, ufamy, tylko sprawa się rypla.

Rypcium pypcium – jakieś durne rymowanki szturmują głowę. Niezła mi pomoc Pana Boga.

Zajeżdżasz swoim audi na stację przy wylocie, kupujesz red bulle i flaszkę bolsa, dziabniesz sobie trochę zaraz, musisz to wszystko czymś zapić, należy się. Przepalisz przecież ten alkohol w drodze: jeszcze przed Krakowem będziesz trzeźwy jak świnia. Kurwa i to ma być ta boska opieka, to wyprowadzenie z ciemnej doliny?

O nie, nie dotrzymałeś, Panie, umowy, pokomplikowałeś rzecz tak, że...

Wyjeżdżasz z Zakopca. Do Warszawy ze cztery godziny minimum. Nie tak wyobrażałeś sobie powrót do domu, pewnie że fajnie było pokręcić na tych curvingach, powyginać bioderka i udawać mistrza slalomu...

Się ściemnia, mży deszczyk, a może to i deszcz ze śniegiem, bo jakieś to rozpaćkane, droga wąska, bo cwane górale nie chcą sprzedać ziemi pod budowę szerszej trasy. Wycieraczki pracują rytmicznie, ale nie są w stanie usunąć całego syfu z szyb. W ogóle nie dociskają, wymieniłeś je raptem miesiąc temu, a rozmazują wszystko bez sensu. Że też ludzie nie wynajdą czegoś zmyślniejszego! Jedziesz, czujesz jak ogarnia cię

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

wkurw połączony z totalnym zniechęceniem. Wydawało się, że rzecz już załatwiona, przyklepana, nawet ten idiotyczny pomysł pani Krystyny jakoś tam to kwitował.

Panie Boże, jaki tam Boże, nie ma tam nic na górze, nikt się nami nie opiekuje, pusto. Jest jakiś Los, przeklęty Los. Czas zerwać z tą komedią, z tymi modlitwami na wszelki wypadek. Boże, zrobiłeś mnie w chuja, tak po prostu.

Mijasz Myślenice. Jedziesz tą rozkopaną zakopianką, nawet ona się nie ostała, co i raz jakieś zwężenia, droga porozgrzebywana jak twoje życie, wszystko się rozpiędała, remontowanie nic nie daje, trzeba by tu zerwać całą nawierzchnię i położyć wszystko na nowo. Nawet zakręty, dawniej świetnie wyprofilowane, pozwalające płynnie sunąć po tych pagórkach, teraz grożą zgubieniem przyczepności.

Nie nie, nie ja się skurwiłem, to świat okazał się strasznie kurewski. I Szyna, ten skurwiol!

Spokój, spokój. Słuchasz burczenia silnika, cieszy cię wykładana skórka kierownica i fantastycznie układająca się w dłoni gałka zmiany biegów. Uspokoić się, przemyśleć wszystko, odetchnąć. Przecież musi się jakoś ułożyć.

Wjeżdżasz do Krakowa, wzgórze z białym kościołem wotum chyba za rok dwudziesty, a może ci się porąbało, może to w Białymstoku, chuj wie, wszędzie wota, sięgasz po flaszkę, trudno, miało być na potem, ale to zawsze tak jest. Bierzesz dużego grzdyla.

O kurwa, to tu – Łagiewniki, Sanktuarium. Hamujesz gwałtownie, zarzuca cię, terkocze zdziwiony ABS, skręcasz gwałtownie w prawo, jakaś pokręcona ta droga, ostry zakręt, wertepy, łomoczą amortyzatory na kolejowych torach i do góry, stromo, ślisko. O nie, nie ze mną te numery, nie będzie tej durnej tablicy! Jak, Panie Boże, nie dotrzymałeś

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

dealu, to zwijamy interes. Ufamy, ufamy, gównu ufamy. Nie udało się. A jak się nie udało, to odłupiemy tę świętojebliwą płytę!

\*\*\*

Potwornie boli, strasznie. Leżysz pod murem i przeżywasz to, co się stało, oglądając jakby poklatkowo film. Widzisz więc czarną postać zakonnicy, która nagle napręża się, a jej twarz zmienia się niczym oblicze Bruce’a Lee zadającego ostateczny śmiertelny cios, widzisz wyraźnie – ale to imaginacja po wstrząśnieniu mózgu, jakiego na pewno doznałeś waląc głową o mur – przypominasz więc sobie uwypuklające się nagle na jej twarzy kości policzkowe i wyraz skumulowanej nienawiści pomieszanej z jakimś cierpieniem odmieniający łagodną dziewczęcą buzię. Spozrzegasz – w twoim mózgu wyświetla się – jak jej stopy mocno tańczą na żwirze, a habit faluje zdradzając, że jej drobne ciało staje się twardą napiętą maszyną do zabijania.

Nawet na filmie oglądanym klatka po klatce czarny trzewik zbliżający się do ciebie jest rozmazany: z taką prędkością wyprowadzony zostaje cios. Myślisz: jak wszyscy fascynowałem się „Wejściem smoka”, dlaczego nie podjąłem treningów, ale przecież to słabe: choćbyś ćwiczył latami, ciosu tej fighterki byś nie zablokował. Miałeś do czynienia z profesjonalistką, warszawską legendą sztuk walki, która pod habitem skryła ciało prawdziwej kobiety-lamparta – żyłaste i pozbawione grama tłuszczu.

Skąd mogłeś wiedzieć, że kilka lat temu, pewnego jesiennoego dnia, mistrzyni kung fu odwiedzi swoją kuzynkę i w słonecznym saloniku umeblowanym banalną Ikea weźmie do ręki pismo wydawane przez młodych katolickich oszołomów.

## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Skąd mogłeś wiedzieć, że sportsmenka czytając ten kwartalnik religijnych ultrasów pojmie, że oto chce być wojowniczką, ale Bożą.

Skulony wyjesz.

A więc tak wygląda zemsta Pana, która do niego należy, a więc tak doprowadził do końca twoją historię Ten, któremu na odczepnego powiedziałeś „ufamy”.

Leżysz bezwładny, przy każdym oddechu ból jest nie do zniesienia, głowa dziwnie pulsuje, nie wiesz, że ozdobna śruba z wotywniej tablicy rozorała ci czaszkę, a krew zbrukała kamienną płytę, znacząc po ukosie czerwoną smugę, szyderczo przypominającą promień ze słynnego obrazu. Krew, woda.

Jęczysz, z oczu płyną ci łzy, a na twojej twarzy błąka się do tego zupełnie niestosowny uśmiech zakłopotania. Nie masz pojęcia, skąd na pustym dziedzińcu znalazła się siostrzyczka-wojownik, nie znasz jej dróg. Nie wiesz, że walcząc z duchowymi trudnościami, nie oparła się słabości i skryta za załomem muru jarała właśnie marlboro, bo paradoksalnie, wtedy jej najlepiej się modliło i wtedy uzyskiwała jasność. Jak ten tytoń spalam się w Twojej służbie, Panie, nieefektywnie, błaho. Przepal me słabości, przydaj sensu mojej postudze. Zakonnica zaciąga się, niby zrelaksowana, ale przecież cała jest trwożliwym nasłuchiowaniem, bojąc się nakrycia przez współsiostry albo zabłąkanego pielgrzyma. Czarna postać w mroku i czerwony żarzący się punkcik.

Zaczynasz dłubać przy tablicy, nieświadom, że tak działa Opatrzność i z przypadkowych zdarzeń, z ludzkich słabości, z dziwnych zbiegów okoliczności tka twój i mój los.

Siostrzyczka przydeptuje już papierosa i czubkiem trzewika kieruje go do rowka odprowadzającego wodę z alejki, gdy słyszy chrobotanie śrubokrętu. Cicho jak kot skrada się ku tobie.



## Ptasia i zakonnica

Andrzej Horubała

Potem wszystko rozgrywa się błyskawicznie. W twojej ręce coś lśni, ona rejestruje to jako nóż, więc włącza bezrefleksyjny tryb – unicestwić wroga. Działa mechanicznie, nie do powstrzymania. Napręża ciało i wprowadza trenowany tyle razy perfekcyjny cios.

Myślisz sobie półprzytomny: oto jest ramię Jahwe. On jest i właśnie spuszcza mi wpierdol. Niech tak się dzieje. Tak musi być.

Boli, cholernie boli, czujesz, że płaczesz, słyszysz, że skamlesz.

Czarne ptaszydło pochyla się nad twoim bezwładnym ciałem.

Czarny ptak mści się za Ptasie...

Nie wiesz, że masz pękniętą podstawę czaszki, stłuczoną wątrobę i połamane trzy żebra, z których jedno uszkodziło opłucną. Boli cię, rwie u nasady mostka, akurat w tym punkcie, z którego na obrazie Jezusa Miłosiernego wypływają strumienie łaski: czerwony i biały znaczące krew i wodę, albo jak kto woli barwy naszej udręczonej ojczyzny. Ojczyzny udręczonej, dewastowanej przez takich skurwysynów jak ja – myślisz odpływając, i wydaje ci się, że musisz koniecznie przytknąć tam swą lewą dłoń na wzór Jezusa.

Potęźnie bełta ci się w głowie, płyniesz przez minione zdarzenia, widzisz Ptaszynę – roześmianą, szczęśliwą, gdy wszystko się zaczynało, zjawia się Maciuś patrzący na ciebie z dumą.

Dłonią dotknąć mostka, serca. O tak.

Bluźnisz? Pragniesz miłosierdzia, Andrzejkę?